MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POLITYCZNO-SPOŁECZNY.

Rok II. Warszawa, 15 Kwietnia 1922 r. Nr. 15.



Cena numeru 40 mk.

PRÓBA RACHUNKU SUMIENIA.

Niektórzy posłowie z P. S. L. nadużywali swojego stanowiska, ażeby robić interesa osobiste lub też napędzać swoim zwolennikom i poplecznikom zysków do kieszeni. Jest to objaw smutny, ale nie wyjątkowy. Takie rzeczy działy się i dzieją się na całym świecie niestety.

Ale na całym świecie, stronnictwo po stwierdzeniu skandalu, w lot wyzbywa się kompromitującego członka, zrywa z nim wszelką łączność i na zewnątrz przywraca sobie bodaj pozory nieskazitelności, jeżeli go nawet na przywrócenie istotnej nieskazitelności nie stać.

Choćby w tem była nawet i nieszczerość, to ta obłuda sama jest jednak hołdem, oddanym uczciwości, jest pokłonem wobec zasady, że sprawy publiczne należy oddawać w ręce czyste. W ten sposób świat cały zaznacza, że chce się rządzić prawością.

U nas inaczej.

Ludzie, wskazywani palcami jako szachraje, są nadal utrzymywani na stanowiskach przywódców, firmantów, czołowców. I to jest smutne.

Jeszcze smutniejsze jest, że nie patrzy się u nas na rzecz, tylko na osoby. I wystarczy, że odkrycia nadużyć czy przestępstw dokonał ktoś, nie należący do danej partji, ażeby nietylko członkowie tej partji, ale wszyscy jej sojusznicy, a nawet wszyscy przeciwnicy stronnictwa, do którego należy odkrywca nadużyć, zsolidaryzowali się jak mur z szachrajami. A to już jest objawem zastraszającym. W ukrywaniu przestępców w P. S. L. zjednoczyli się nietylko ludowcy i ich sprzymierzeńcy socjalistyczni czy zjednoczeniowi, ale i kilka pomniejszych grup, niechętnych „endecji" i uznają w swoich pismach, a nawet oświadczeniach tego rodzaju rewelacje nie za to, czem one istotnie są, to jest za tępienie rozpanoszonych nadużyć, lecz za tz. intrygę endecką. W ten sposób organa, stojące na czele narodu, a więc stronnictwa i prasa patentują nadużycia i brudy jako naturalny stan życia, poprostu jako fizjologiczną funkcję życia. A to jest zatruwaniem i tak niezdrowej atmosfery.

Poseł, wysunięty na czoło wielkiego urzędu, gwałci ustawy, drwi ze słuszności i godziwości, przez powolnego ministra zachwiewa niezawisłością sądownictwa, przysparza przyjaciołom miljonowych zysków ze szkodą Skarbu państwa, jednem słowem gospodarzy w Urzędzie jak dziki odyniec w ogrodzie lub szalony słoń w składzie porcelany, a jego stronnictwo uchwala mu za to uznanie, zaufanie i podziękowanie. Uchwalają tak ci, którzy na drwinach z prawa już skorzystali, jak i ci, którzy nie brali w tych korzyściach udziału. Nasuwa się więc nieodparte przypuszczenie, że wszyscy bez wyjątku spodziewali się przy tej odyńcowej gospodarce coś oblizać i że wszyscy bez wyjątku uznają władzę w państwie za patent na zwykłe rozszarpywanie skarbu państwa.

A to już jest objawem groźnym.

Prawo do rozdrapywania skarbu państwa uważają za swoją tak przyrodzoną własność iż oburzają się, gdy im kto chce w tem przeszkadzać. Jest to jedyny punkt, naprawdę dla nich bolesny, co do którego nie znają nietylko żartów, ale popadają w pasję i tracą panowanie nad sobą. I widzieliśmy to na własne oczy, a słyszeliśmy na własne uszy.

Bywały w Sejmie burzliwe rozprawy—bywała obstrukcja, muzyka na pulpitach i spluwaczkach, bywały wychodzenia z sali ze śpiewem urągania. Raz i ludowcy z pieśnią: „O cześć wam panowie magnaci" wyszli z sali obrad.

Ale i wtedy prezes klubu p. Witos nie uniósł się, nie wykrzykiwał, nie brał udziału w śpiewie. Zachował pełne dostojeństwo prezesa i kroczył na czele śpiewających, milczący i groźny. Za to podczas rozprawy o Dojlidach zapomniał o powadze prezesa, o dostojeństwie byłego prezydenta rządu i miotał się i wykrzykiwał na równi z pp. Szmiglem i Błyskoszem. Za kilkadziesiąt lat życia politycznego po raz pierwszy stracił panowanie nad sobą i nie opanował wściekłości. Nie dziw, że mniejsze płotki popadły w furję, skoro majestat zrównał się z ulicznikiem. To też poseł Bryl obił drugiego posła

podczas rozpraw sejmowych w sali posiedzeń, a poseł Szmigiel rzucił się na księdza w kuluarach, wykrzykując w niebogłosy i mierząc pięściami.

A wszystko to dlatego, że znalazł się ktoś, kto odważył się dać świadectwo zasadzie, że nie godzi się okradać skarbu państwa. A wszystko kulminowało w okrzyku, że się powtórzy rabację z 1846 roku tylko z większą precyzją. Kogo chcą rżnąć? Nie szlachtę bo ta w grę nie wchodzi. Grożą rzezią tym, którzy przeszkadzają w okradzaniu skarbu.

Aby zatrzeć wrażenie, chwycono się innego środka. Ogłoszono przypuszczenie, że banki spekulowały na walucie ze szkodą państwa, a jako przykład podano Bank Ludowy w tem dawnem niepolitycznem znaczeniu, bank, będący związkiem wszystkich chłopskich i drobnorzemieślniczych zrzeszeń finansowych. Ludowcy, rzucający podejrzenie na jeden jedyny bank i to właśnie bank istotnie ludowy, to osobliwość, godna zanotowania. Mieliśmy niedawno proces banku Natansonów, ale tego nie wspomnieli ludowcy, bo to bank nie ludowy, lecz kapitalistyczny. Dziwnemi drogami chadza ta polska ludowość osobliwego nabożeństwa.

Nie myślę używać metod ludowcowych i insynuować, jakoby ten bank był solą w oku ludowców dlatego, że a) nie jest żydowskim. b) istotnie pracuje dla zrzeszeń ludowych i nie „drze skóry z chłopa". Wierzę, że im się ten bank nasunął dlatego, iż jeden z jego dyrektorów jest także i posłem „endeckim". Stąd próba syllogizmu: 1) bank spółek szkodzi państwu, 2) jeden z dyrektorów jest endekiem—wniosek: 3) endecja szkodzi państwu.

Tymczasem rzecz się ma tak: albo istotnie bank spółdzielczy dopuścił się karygodnej spekulacji walutą, albo nie. W pierwszym wypadku sprawa należy do prokuratora, a nie do Sejmu; w drugim ludowcy dopuszczają się oszczerstwa względem jedynej istotnie ludowej i polskiej instytucji finansowej.

Sprawa nie ma z Sejmem nic wspólnego. Jeżeli dyrektor banku zawinił, klub Związku głosować będzie za wydaniem go prokuratorowi tak jak przed moją rozprawą o amerykańską broszurę uchwalił jednomyślnie wydanie autora, o ile ktokolwiek tego zażąda.

Dyrektor banku, który zostawszy posłem, nie porzuca dyrektury, jeżeli się dopuszcza wykroczenia bankowego, nie popełnia ani nadużycia mandatu, ani nadużycia władzy, ani żadnego przestępstwa zbrodniczo-politycznego, lecz tylko pospolite wykroczenie i podpada pod pospolite sądy.

Natomiast poseł, tworzący spółki dla eksploatowania dobra państwowego i uzyskujący protekcyjnie korzystne warunki od rządu, dopuszcza się nadużycia mandatu. Minister czy wysoki urzędnik w randze ministra, zakładający takie spółki, dający spółkom, do których albo sam należy, albo jego przyjaciele polityczni, warunki, krzywdzące skarb państwa i innych obywateli, dopuszcza się nadużycia władzy. To są występki, które należą i do prokuratora i do Sejmu i do opinji publicznej.

Zacieranie więc istotnej zbrodni publicznego nadużycia przez rozsiewanie podejrzeń natury prywatnej jest wielką nierównomiernością. Przyjaciele ludowców usiłują w swoich czytelników wmówić, że to są dwa współmierne zarzuty i konkludują przysłowiem: „Bijesz ty mego żyda, biję ja twojego". To nie tak. Ani powyższe przysłowie nie ma tu zastosowania, ani nawet odmienne drugie: „zabiłeś ty mego ojca, to ja twoją świnię: niech dusza za duszę zginie". To są bowiem dwie sprawy z zupełnie innych płaszczyzn, mówiąc stylem posła Rataja. Jedno jest dowiedzionem nadużyciem mandatu, władzy i zaufania celem osobistego obłowienia się ze szkodą obywateli, oraz skarbu państwa, drugie jest przypuszczeniem, że jakiś pan popełnił przestępstwo pospolite, jakich popełnia się tysiące.

I do rozszerzenia tych podejrzeń nie zgłosił się ani jeden z ludowców, mających opinję ludzi o czystych rękach, mimo brudnej przynależności. Ani p. Anusz, ani pp. Dębski lub Dąbski, ani p. Erdman, ani p. Kędzior, ani p. Sredniawski. Referentem podejrzeń został poseł Bobek, wymieniany w dokumentach, jako jeden z firmantów spółki parcelacyjno-spekulacyjnej pt. „Polsko Amerykański Bank Ludowy". Referat zaś był tak nieudolny, że bez badania sprawy można było chwiać całą ins ynuacją. Wystarczy przypomnieć, że p. Bobek wedle bilansu uznał a) zysk banku za zbyt wysoki i b) podatek od tego zysku zapłacony, a w bilansie wykazany, za zbyt niski. Tymczasem każdy laik wie, że w bilansie umieszcza się podatek, zapłacony w roku bilansowym, a wymierzony wedle dochodów, wykazanych w bilansie za rok ubiegły. O wysokości zysków tego banku w roku ubiegłym nie umiał p. Bobek nic powiedzieć i dlatego uniemożliwił słuchaczom wyrobienie sobie zdania, czy podatek naprawdę był za niski czy za wysoki, czy też normalny.

I widocznie bał się i on i jego towarzysze oraz sojusznicy rozpatrzenia tych niedomówień, ponieważ wszyscy oskarżyciele, czy miotacze podejrzeń głosowali przeciwko merytorycznemu załatwieniu sprawy. Rzucanie podejrzeń i niedopuszczenie do ich rozpatrzenia oświetla bardzo wyraźnie ten proceder. Zachowanie się ludowców i ich wspólników w tej sprawie uprawnia do przypuszczenia, że ich zarzuty, skierowane przeciw bankowi towarzystw spółdzielczych, są nie podejrzeniem, lecz rzeczywistem oszczerstwem.

Nie powiodło się i to, więc chwycono się innego sposobu. Nie zezwolono na opublikowanie wyników śledztwa Najwyższej Izby kontroli państwa, a uzyskano od Ministra lewicowej sprawiedliwości ogłoszenie wyniku cząstkowych dochodzeń przeciw spółkom leśnym i zaprodukowano elaborat p. Witosa o tych spółkach.

Ukartowano zaskoczenie Sejmu, przy którem możnaby ewentualnie przeprowadzić jakąś uchwałę na plasterek świąteczny, tą samą większością, co Lidę i Bracław lub potępienie mojej nieczytanej broszury. I ta sztuczka zawiodła. W nie-

przygotowanym Sejmie znaleźli się ludzie, którzy z pamięci wykazali p. Witosowi grube nieścisłości. Przedświąteczne pranie nie powiodło się.

Ale jestto generalne pranie świadectwem, że uczciwość żyje jeszcze w duszach większości narodu i że ludzie brudni boją się jej ocknienia. Jeszcześmy nie upadli na dno demoralizacji, skoro przestępcy, zamiast drwić sobie z rewelacji, boją się zdemaskowania publicznego swoich nadużyć.

Dla ratowania Polski trzeba ciągle uciekać się pod skrzydła opinji publicznej.

Jan Zamorski.

POŻYCZKA ANGIELSKA.

„Żydzi i posłowie żydowscy w sejmie popierają obecnie rząd i Naczelnika Państwa, wykazując przez to większą trzeźwość polityczną, niż inne grupy, zarażone szowinizmem i politykomanją“..

„Trzeba przyznać, że rząd Ponikowskiego w stosunku do kwestji żydowskiej jest daleko lojalniejszy niż wszystkie poprzednie rządy, nie wyłączając chłopsko-socjalistycznego rządu Witosa Daszyńskiego... („La Tribune Juive" 6 marca 1922).

Prasa polska donosząc radośnie o otrzymaniu przez Rząd w Londynie wielkiej pożyczki czterech miljonów funtów zataiła solidarnie od kogo tę pożyczkę otrzymano.

Otóż możemy czytelników naszych poinformować, że pożyczkę tę otrzymano *przez żydowski bank Braci Latrzarus, a pośrednikiem w tej tranzakcji był makler warszawski p. Roziewicz.*

W ten sposób „Hidden-Hand" „chosen people" kładzie się już definitywnie na Polsce.

W najbliższym czasie możemy oczekiwać z Rosji imigracji pół miljona żydów rosyjskich, uciekających przed pogromami, oraz całego szeregu ustępstw na rzecz żydowstwa.

Shylockracy w Europie Wschodniej się stabilizuje.

A. N.

NA „KAZIONNY SZCZOT“ DO GENUI.

Gorzki, bardzo gorzki jest chleb opozycji w Polsce. Ale za lojalizm, karne i korne przystosowanie się do istniejącego „porządeczku" piernik dostaje się słodki, bardzo słodki.

„Niebłagonadiożna" „prawica" czuje nad sobą ciężką łapę rządzących; oprymowana jest; jej ludzie są usuwani, wyobcowywani, niedopuszczani, bojkotowani, wygładzani, pensjonowani, emerytowani, przenoszeni na prowincję i na kresy, wreszcie oszczekiwani tak systematycznie, konsekwentnie i zajadle przez tuczoną sforę subwencjonowanej lub faworyzowanej mafii prasowej, aż wreszcie przemęczeni, zagłuszeni, zdesperowani, machnąwszy ręką i splunąwszy na wszystko usuwają się w zacisza Cyncynnatowe, idą na emigrację i na banicję.

Wierzących natomiast w ciemniejącą gwiazdę i w boskie

poważanie „Pogromcy Niedźwiedzia", godzących się bez zastrzeżeń na ochlokrację judeodemokracji czekają już w doczesnym żywocie wszystkie zaszczyty, godności i nagrody. Ten zostaje wojewodą z woziwody, tamten z suflera Beselera ambasadorem, inny beatus tenet koncesję na wyrąb puszczy Niepołomskiej, jeszcze inny dostaje Polonia Restauranda, tamten w awansie przeskakuje setkę kolegów, ów zasię choć kiedyś stał pod pomnikiem Katarzyny zostaje wielkorządcą całej prowincji.

Obecnie przyszła kolej na prezenty i gratyfikacje dla dobrze sprawujących się dziennikarzy. Kto przez te trzy lata starał się na biało lakierować wszystkie filary Belwederu, kto wierzył w Kijów i w marsz na Moskwę, kto się nie zżymał na wjazd Kesslera, kto domagał się jeszcze i Mińska, a Słowaczczyznie pomagał do wyzwolenia się z „kajdan czeskich" i t. p ten w nagrodę za to pojedzie sobie na kwiecień do Rapallo, gdzie na koszt „naczalstwa" przesiedzi sobie ile tylko zechce. Oszczędność oszczędnością, a korrupcja korrupcją. Pan Michalski mówi swoje a p. Wieniawski mówi swoje. Że w tem oficjalnem zakupywaniu sobie prasy jest pewien cynizm, o tem się nie mówi, a zafundowani dziennikarze nawet skrupułów sobie nie robią. Tak podobno robi się w Paryżu... twierdzą ci, co się kształcili politycznie w... Widniu.

Jadą więc na koszt rządu do Genui Domejko i Dowejko: Posner und Rosner. I jadą na koszt rządu dr. Beaupré z „Czasu" i p. Ehrenberg z „Porannego". Zrażać się brzmieniem nazwisk nie trzeba, gdyż ostatecznie p. Ehrenberg spotka się tam z Sauerweinem z „Matina", a na każdym międzynarodowym zjeździe konjunktury dla meteków są najlepsze; komiczny będzie moment gdy Sauerwein i Ehrenberg będą się zapoznawali z Dombrowskim z „Berliner Tageblattu", lub z Radkiem z „Izwiestji" czy z Błociszewskim z „Tempsa". Mogą też tam zajść humorystyczne qui pro qua z powodu Rosnera and Posnera, kiedy telegram adresowany do kohnserwatysty będzie dostawał pepesemita...

Na ski nie jedzie żaden na koszt rządu. Miał jechać pan Kóskowski. Kiedy mu zaproponowano ze strony rządu, w pierwszej chwili chciał jechać chwaląc sobie tego rodzaju „inicjatywę delegacji polskiej" szczególnie w tak pięknym miesiącu jak kwiecień. Szybko jednak rozmyślił się i nie chcąc być tym tolerowanym i zaproszonym dla decorum jedynym Na-skim odmówił, zaznaczając w energicznym liście że:

„lepiej pozostać w domu i ze zdwojoną czujnością ostrzegać światły ogół polski przed robotą głupców i awanturników".

Nic słuszniejszego. Pamiętając i wiedząc dobrze przed jakim to awanturnikiem i awanturnikami przez trzy lata i przed jakich „robotą głupców" przez trzy lata ostrzegał dzielnie, śmiało, spokojnie, z powściągliwością i z energją „światły ogół" p. Koskowski, z prawdziwą radością konstatujemy, że cały „światły ogół" wprost raduje się z tego, że pan Koskowski nie będzie paradował po Genui z tego gatunku

typami jak Hindenburgista Beaupre lub wyjeżdżający w r. 1915 z Warszawy do Rosji także na kazionny szczot powiernik Zatajewiczów i nocny zabawiacz Wielkich Książąt na postoju warszawskim w r. 1915, pan Ehrenberg.

Jadą więc Rosner and Posner, Beaupré i Ehrenberg. Prasa którą reprezentują nie jest już niezależna, ale jest subwencjonowaną, czyli jak się dawniej mawiało o pruskiej: dyspozycyjną; z funduszów dyspozycyjnych.

Tego nie należy ukrywać przed opinją publiczną. Wszystko co ci czterej zafundowani żurnaliści będą pisali z Genui będzie inspirowane, suflerowane i płatne przez rząd. Przejażdżka ich do Genui stanowi premium za dotychczasowe, a „vorschuss" (zaliczkę) za obiecane dalsze z góry nakręcanie opinji publicznej. Trzej z nich debiutują zdaje się w tym kierunku, pan Ehrenberga fundowano sobie już dawniej.

Za pół roku dostaną prawdopodobnie ordery: „Polonia restauranda", p. Ehrenberg „für tutti militari", a Posner and Rosner gwiazdę „Gierosalemme liberata".

A. N.

TERROR POSŁA LIEBERMANA.

Posiedzenie sejmowej komisji prawniczej; — sala pełna posłów i przedstawicieli rządu; — stół w podkowę ustawiony; — na porządku dziennym ustawa o ochronie lokatorów.

Wszyscy obecni zdają sobie sprawę, że ustawa, zastosowywana powszechnie podczas wojny, musi jeszcze obowiązywać; ale wszyscy również zdają sobie sprawę, że ustawa ta musi być, o ile się da, łagodnie likwidowana, sprowadza bowiem oczywistą już dzisiaj ruinę miast, sprowadza przepełnienie mieszkań i nieuniknione starcia lokatorów z sublokatorami — jest wreszcie nie zgodną z konstytucją, zabezpieczającą każdemu obywatelowi prawo własności.

Konstytucja wprawdzie pozwala ograniczyć prawo własności, jeżeli chodzi o dobro publiczne, ale jedynie za godziwem wynagrodzeniem.

Ochrona lokatorów ma na oku dobro publiczne, ale nie daje godziwego odszkodowania, bo gdy komorne płacone np. za jedną izbę wynosi przeciętnie 60 mk. miesięcznie, to jestto wartość *jednego papierosa wypalonego dziennie.* Nie tylko nie może to być wynagrodzeniem, ale nie daje możności dokonania najmniejszego remontu, ani ubezpieczenia budowli od ognia. Każdy pożar bezpowrotnie zmniejsza ilość domów mieszkalnych.

Tyle razy przecież próbowano strajku powszechnego i ani razu się nie udał. Pozostał na razie tylko ferment mieszkaniowy, ferment powszechny, sięgający od najbogatszych do najbiedniejszych. Trzeba tę trutkę jaknajdłużej podtrzymać, bo to nietylko walka klas, ale walka wszystkich przeciwko wszystkim — to droga do anarchji.

Chwila odpowiednia, więc akcja obstrukcyjna postanowio-

na, a na czele jej staje poseł Liberman, oczywiście żyd z P. P. S. a sekundują mu posłowie z Narodowej Partji Robotniczej, zawsze licytujący się z P. P. S. oraz zamaskowani socjaliści z „Wyzwolenia".

Przewodniczący otwiera posiedzenie, więc poseł Liberman natychmiast prosi o głos i rozpoczyna mowę. Mówi pół godziny z uśmiechem sarkastycznym na ustach, jednak wkrótce widocznem się staje, że już brak mu konceptu; chwyta się więc innej taktyki przechodząc w ton kpiąco — prowokacyjny.

Któryś z posłów wyprowadzony z cierpliwości, wtrąca niebacznie jakieś słowo (tak zwany z wiedeńska „zwischenruf"); ale tego właśnie wytrawnemu obstrukcjoniście było potrzeba,—chwyta w lot rzucone słowo i robi zeń temat na dalsze 10 minut swojej przemowy.

To denerwuje obecnych.—I znów ktoś gorętszy nieostrożnie się odzywa, dając nowy asumpt do dalszej obstrukcji.

Zdenerwowanie wzrasta, wywołując jeszcze parę wykrzykników, z których dzielny szermierz słowa skwapliwie korzysta.

Obecni zacinają wreszcie zęby i wśród milczących mężów rozlega się już tylko jeden głos mówcy.

Minęła godzina, nikt nie podsyca przemowy — tematu znów zaczyna brakować. Ale to nic nie znaczy; doświadczony niemiecki lew-orator potrząsnął rudą swą grzywą, obejrzał się i dostrzegł, że jeden z aryjczyków ośmielił się uśmiechnąć.

A! pan kolega się śmieje, pan kolega mi nie wierzy—to ja panu koledze dobrze to wytłumaczę. — I zaczyna się tym zwrotem nowa fala wymowy.

Aryjczycy spoważnieli, bo już uśmiechnąć się nie wolno— i sławny poseł wiedeński panuje na sali niepodzielnie.

Śmiać się już nie wolno, komuś więc przychodzi zdrożna myśl, że to przecież wstyd, by jeden tylko Liberman mógł sterroryzować polaków i powstrzymywał pracę całej komisji.— Pomyślał i smutnie głową pokiwał.

Nie uszło to argusowege oka pogromcy—i znów potrząsnął złotą swą grzywą i woła: — pan kolega kiwa głową, pan myśli że to nie prawda i t. d. — i oto jest nowy bodziec do dalszej obstrukcji.

A nieremontowane domy dalej się walą, kosztowna woda przecieka przez popsute krany, nieopłacani należycie stróże zaśmiecają i zatruwają stolicę — mieszkań nie tylko nie przybywa ale ubywa. A upadek miast to przecież upadek kraju i jego kultury.

Ale tego właśnie „popsujom" potrzeba — stoją więc pod komendą Libermana przy „pracy".

Ktoś na komisji zarzucił, że taka robota prowadzi do bolszewizmu.

P. Liberman zaprzeczał. — Nie od rzeczy więc będzie przypomnieć bajkę o czapli, co nosiła ryby w krzaki, a p. Liberman niech pamięta, że przewrotna czapla obok naiwnych ryb w stawie znalazła i raki.

Obserwator.

SPAWA P. MERWINA.

W związku z artykułem „Sprawa p. Merwina“ w Nr. 14 naszego pisma zjawił się w redakcji p. mjr. T. Bobrowski i oświadczył, że mjr. Merwin sprawę zarzutu, na naszych łamach ogłoszonego, oddał do rozpatrzenia Sądowi honorowemu dla oficerów sztabowych. Zarazem pokazał nam p. mjr. Bobrowski oświadczenie mjra Stanisława Tyry, obecnie zastępcy komendanta P. K. U. Warszawa, który w sierpniu 1914 r. był dowódcą 2 komp. 19 p. p. austr. obrony kraj. Otóż mjr. Tyro stwierdza, że wówczas w skład kompanji wchodził, jako szeregowiec, p. Merwin, że jednak tenże przez cały czas służby, aż do zgłoszenia się do służby w Legjonach, ani nie pełnił funkcji służącego oficera, ani też o taki przydział się nie starał. Mjrowi Tyrze nie był też znany rozkaz „Landsturmbezirkskommando“ z 23 sierpnia 1914 r., zawierający komenderowanie p. Merwina. Rozkaz taki również i mjr. Merwin przeczytał dopiero z Nr. 14 „Myśli Narodowej“. W imieniu mjra Merwina wyraża major Bobrowski pogląd, iż niemal w przededniu ewakuacji Lwowa, gdy aparat administracyjno-wojskowy uległ pewnej dezorganizacji, dnia 23 sierpnia 1914 r. mógł ktoś urządzić złośliwy figiel przez ogłoszenie profesora i doktora „służącym oficerskim“ lub też jakiś podrzędny organ kancelaryjny pierwszego z brzegu szeregowca umieścił na liście „służących oficerskich“.

„Poglądy“ p. Merwina na pewne wypadki jego najosobistszej przeszłości są tak tajemnicze i zagadkowe, że Redakcja „Myśli Narodowej“ nie mogąc mimo najlepszej woli ułatwić czytelnikom ich zrozumienie, musi na razie poprzestać na przytoczeniu jeszcze raz dokładnego brzmienia dokumentu, w którym p. Merwin został zamianowany „pucerem“ akcesisty rachunkowego p. Goldyka.

Pierwszy punkt rozkazu komendy powiatowej pospolitego ruszenia Nr. 19, z dn. 23 sierpnia 1914 r. brzmi:

Kommandierungen: Infaterist Bertold Merwin der 2/19 Landst. Ersatzkompagnie wird als Ofiziersdiener für die Person des Landstaccesisten Leon Goldyk kommandiert.

Infaterist Menachem Tennenbaum des Ldst. B. K. IV. 19. wird als Offiziersdiener für den Hauptmann Böhlke übersetzt.

Pod rozkazem jest podpisany podpułkownik Mühlbauer.

Dla informacji dodajemy, że 1) były austr. akcesista Leon Goldyk, obecnie zawodowy oficer gospodarczy, pełnił niedawno obowiązki służbowe w O. Z. G. VI. we Lwowie, skąd w ostatnich dniach przeniesiony został do intendentury 2 giej armji w Lidzie. Na skutek jednak osobistej interwencji w wydziale pers.-org. Dep. VII M. S. Wojsk. otrzymał przydział przy pewnej formacji wojskowej w Brześciu Litewskim, dokąd przed paru dniami ze Lwowa wyjechał.

2) Podpisujący rozkaz b podpułkownik (Oberstleutnant) Müllbauer, obecnie pułkownik W. P. przeniesiony do rezerwy W. P. przebywa stale we Lwowie i stwierdzić może każdej chwili autentyczność rozkazu.

3) Rozkaz ów podany został do wiadomości oficerów,— a to, że p. mjr. Tyra treści jego nie pamięta, nie jest żadnym, wystarczającym argumentem.

P. MERWIN I HR. DZIEDUSZYCKI.

Motto: Szajgec zawsze musi się czemś specjalnie odznaczyć.
„Robotnik" z 1 marca 1922.

W 68 numerze Kurjera Warszawskiego niejaki B. Merwin, wgryzający się na rasie petitem ale zajadle w redakcję tego pisma, drukuje swoje „osobiste wspomnienia" o hr. W. Dzieduszyckim. Sprytny lwowski arrivista naściągawszy po żydowskich kawiarniach anegdot o hrabiu Wojtku, fabrykuje z tego swoje „osobiste" wspomnienia „a la Hoesick". Pisze więc:

„miałem zaszczyt być przez krótki czas uczniem tego profesora a *ponadto* zbliżyć się doń *w* życiu prywatnem".

„P. Merwin egzageruje. Że on miał zaszczyt to prawda, że on się zbliżał to prawda. Natomiast również prawdą jest, że „hrabia Wojtek" żydostwa organicznie nie znosił i p. B. Merwina ni do żadnej konfidencji nie mógł dopuścić ani z nim się zadawać. Oblagowywanie więc „Warszawki" poufałym stosunkiem z Wojciechem Dzieduszyckim jest spekulacją i bluffem na małą skalę. P. Merwin przestał już żerować i profitować na Langiewiczu, teraz zabiera się do Dzieduszyckiego, lada chwila gotów się wziąć do... Hallera.-.

„Kurjer Warszawski" w ostatnich czasach zaczyna coś zanadto lewentalizować... Takiego P. Merwina możnaby śmiało odstąpić „Kurjerowi Polskiemu" a nie zażydzać mechesami i menkesami swoich szpalt.

A. N.

„BOLSZEWICY" W. SIEROSZEWSKIEGO.

Motto:

Zakochać się nietrudno, ale kochać trudno
Colombina dziś właśnie kocha po raz pierwszy
Kocha młodego pana, który oprócz wierszy
Nic niema i w dodatku pisanych na brudno.
Ten pan nie chce sprzedawać, a sprzedawać trzeba,
Ten pan nie chce wydawać choć wydawać musi
Więc tego pana czasem szewska pasja dusi,
Że z niebieskiego nieba nie ukroji chleba.
Otóż go pokochała i szaleje za nim
I gdy wiersze bełkocąc pieści ją jak warjat —
Marzą, *że gdy zwycięży kiedyś proletarjat*
Chleba, szczęcia wystarczy. I chleb będzie tanim.

Zdzisław Kleszczyński: „Żywot Colombiny": ‚Proletarjat"

I.

I oto marzenia Colombiny i „młodego pana" spełniają się i realizują. W zaplombowanych wagonach wysyła sztab pruski za pośrednictwem towarzyszów Helphanda i Grimma odchowane bakterje komunistyczne ze Szwajcarji przez Skandynawję Haparanda-Torneo do Pitra. Bakterje opadają na chory już organizm kolosa rosyjskiego, toczą go szybko i zwalają wreszcie na ziemię, zgniłego, z wyżartem zarazą cielskiem, z wygryzionymi ślepiami, z ropą ciekącą ze wszystkich ran i rozlewającą się w sino-czerwonych strugach śmierdzącej juchy na... Europę. Proletarjat zwycięża ale „chleba szczęścia" nie starczy, chleb nie jest tanim, funt chleba kosztuje dwieście tysięcy proletarjackich rubli, a osiem miljonów musi do r. 1923 zemrzeć z głodu bez pardonu.

I w Polsce byłoby to samo. I o mały włos nie było to samo. Nieco na inny fason, nie tak kałmucki i mongolski. W listopadzie i grudniu r. 1918 wszystko się kołysało i wahało. Krasną fahhnę wieszano na Zamku królewskim, z pięćsetletniego orła polskiego przybłęda zdzierał koronę, pierwszy lubelski gabinet ministrów złożono z urwipołciów i drapichrustów z pod ciemnej gwiazdy, a w zestrachany, sterroryzowany naród szły ukazy polszewickie. Nasze Sonie-Sary i nasze Nuchymy już szykowały się do objęcia władzy nad ćmą. Gdyby Wielkopolska nie była złożyła swego veta przeciw kandydaturze Pankraca Daszyńskiego, mielibyśmy krótkotrwałą dwumiesięczną pepeesią Kiereńszczyznę, poczem w pierwszych miesiącach r. 1919 bylibyśmy zaczęli wpadać w rewolucje lokalne, chłopskie i robotnicze, aż wreszcie bylibyśmy zatonęli w czerwonych odmętach proletarjackiego zwycięstwa... Gdyby nie odpór potężny organizacji narodowych, gdyby nie alarm duchowieństwa o nadchodzącym antychryście semickim, gdyby nie część prasy zdzierająca bez ceremonji maski z pysków rozwydrzonej i rozpierającej się hołoty, gdyby nie gromkie protesty elity intellektualnej, zgrupowanej pod hasłem „Białego Orła", gdyby nie chłopa zdrowy rozum, a małomieszczanina aryjskość agressywna, bylibyśmy, po krótkim epizodzie Kesseleroskiej Kiereńszczyzny niechybnie zatonęli w czerwonej Słowiańszczyźnie, a granice sowieckiej Rosji znów byłyby granicami socjalistycznych Niemiec.

Gdzie wtedy był i co czynił znakomity autor „Bolszewików" dla ratowania Polski przed spełnieniem się „marzeń Colombiny" o zwycięstwie proletarjatu t. j. ściśle realnie biorąc autokracji wschodniego żydostwa?

Dwóch wielkich prozaistów polskich wprowadziło bolszewickie niebezpieczeństwo na scenę: Żeromski i Sieroszewski. Utwór Żeromskiego jest dziełem szlachetnej czystej sztuki, jest polskiem, aryjskiem: j'accuse wielkiego, na gruncie Zachodnio-europejskiej cywilizacji stojącego wytwornego intellektu; sztuka Sieroszewskiego jest doskonałą, pożyteczną, jaskrawą propagandą agitatora, wyzwalającego się z męczeńskim mozołem z duchowości rosyjskiej i wschodnio-europejskiej, miejscami trywialnie szowinistyczną, miejscami dwuznaczną, zezującą, ideowo nierzetelną, obojnacką. Nie mówi się tu już i nie porównuje walorów artystycznych; dramat Żeremiasza ma rysunek delikatnego sztychu i muzykę słowa jak na preludja Chopinoskie nastrojoną; melodram Sieroszewskiego w barwach jarmarcznego plakatu uderza „dubinuszką" w łeb i wrzeszczy patrjotycznie w same uszy szerokiego pospólstwa. Pański, wielkopański poemat prozą Żeromskiego przemawia do elity; demagogiczny, rehabilitacyjny, dosadny i pieprzny oleodruk Sieroszewskiego przyda się, bardzo się przyda dla uświadomienia oby jak największych tłumów teatralnej publiki.

Ale nie w tem rzecz. Jeszcze gdzieindziej tkwi właściwe jądro problemu, fascynujące publicystę. Dla kogo w wycho-

dząc z tej sztuki Sieroszewskiego żywi się bezwzględną sympatję i szacunek? Mówmy szczerze. Dla Razina, nie Stien'ki tymrazem, a Stiepana Razina. Wszystko co mówi ten dygnitarz Sownarkomu jest głęboko ludzkie, bardzo przekonywające i godne. Jak się prezentują w tej sztuce rodacy?.. Marnie, bagatelnie, faryzejsko, błaznowato, płytko, efekciarsko, miałkodrańsko; renomiści, deklamatorzy, nieco bohaterzy, a nieco tchórze... „W Klonowie ani *dziedzica*, ani *księdza* już niema". To jest kłamstwo mistrzu Sieroszewski! W tysiącach Klonowów *i dziedzice i księża zostali na miejscu.* „Sztaby, jenerałowie, pułkownicy pierwsi dają przykład... Armia regularna ucieka przed hordą... wojsko z artylerją uchodzi przed bandą..." Która armia, mistrzu Sieroszewski? Który sztab wiał z pod Kijowa pierwszy? Który jenerał pierwszy wpadł w panikę? A który w Warszawie organizował ochotników? Bardzo pogardliwie potraktowani są w melodramacie: dziedzice, księża, jenerały. Dwie tylko świetlane postacie przyświecają autorowi t. j. dziedziczka Miłowic i Komendant... „Samą centrę przełamał... Sam wojsko od Wieprza im w bok poprowadził... taką dziurę wybił... Morowy ten Dziadek." Komendant i dziedziczka Miłowic! Ale jest jeszcze i trzecia postać do której nie tylko niema się wstrętu ale również odczuwa się raczej sympatję. To „oficer bolszewicki, Polak inteligentny" jak czytamy w spisie osób; Sypniewski. Normalnie biorąc to wiwinien być łotr, zdrajca, padalec jako że idący z czernią bolszewicką na własną ojczyznę. Otóż nie. To jest dusza może zabłąkany ale raczej czysta, heroiczna, uczuciowiec, melancholik, idealista... Mąż dziedziczki, porucznik polskich szwoleżerów w zestawieniu z bolszewickim praporszczykiem to nicość, blanbek z szabelką, tyle że „pieści ją jak warjat" gdy marzy jak „zwycięży kiedyś proletarjat". Jest też w sztuce trochę groteskowego drobiazgu ludzkiego, między ktorem wałęsa się „wspaniały, siwy, wąsaty, na wpół sparaliżowany dziadek Lasota", oczywiście powstaniec z 63 roku, gdyż im bardziej oddalamy się od r. 1863 tem więcej i w życiu codziennem i na deskach teatralnych rośnie cyfra powstańców z 63 roku. Trzeba ze smętkiem wyznać, że o ile ta cała kompanja z „białego dworku" Miłowickiego licho reprezentuje polską inteligencję, jedynym „inteligentnym Polakiem jest właściwie tylko... oficer bolszewicki".

I takich „dziwności" jest w tym świetnym melodramacie jeszcze więcej... D. C. N.

A. N.

SCENY W ŁOWICZU.

Na naszem życiu społecznem i państwowem ciążą jak zmora różne pozostałości Moraczewszczyzny, przynoszące równie wielkie krzywdy pracującej ludności, jak korzyści różnym zbytecznym urzędom i mniejszościom narodowym.

Pomimo doświadczenia lat ostatnich i szczerb ekonomicznych i moralnych, jakie system „powijakowy“ czyli inaczej cen maksymalnych społeczeństwu zadał, ani Sejm ani Rząd nie mogą dotychczas zdecydować się na zerwanie socjal-germańskich pęt ekonomicznych!

Bryka więc w dalszym ciągu osławiona Walka z lichwą, której działalność bywa często pogwałceniem słuszności i zdrowego sensu; ponadto wprowadzono na prowincji w końcu ubiegłego roku t. zw. komisji badania cen.

Komisje te składają się z apostolskiej liczby 12 członków, ale w tem dwóch przedstawicieli rolników, a 10 z przeróżnych odłamów konsumentów.

Wskutek tego komisje, których celem być powinno bezstronne i wszechstronne zbadanie kosztów produkcji, decydują zwykle na niekorzyść rolnictwa, przyczem nieszczęsnym tegoż rolnictwa przedstawicielom pozostaje chyba podanie się do dymisji!

Tak się też dzieje.

W rezultacie zaś, ogłoszenie cen wytycznych, dostępne tylko mieszkańcom miasta, staje się przyczyną skandalicznych wybryków i znęcań się nad włościanami, przyjeżdżającym na targ.

Bo choć faktem jest, że ta warstwa społeczna, korzystając ze sprzyjających warunków, z całą bezwzględnością ciągnęła nieraz korzyści ekonomiczne ze zbiedzonej ludności miejskiej, ale tu chwycono się dla zaradzenia złemu jedynego środka, jaki w żadnym razie pomóc nie może—terroru i gwałtu.

To też wielu gospodarzy wstrzymuje się z dowiezieniem produktów na rynek, woląc taniej sprzedać pośrednikowi, niż narazić się na szykany i to się nazywa „towar się skrył“. Pośrednik zaś, pejsaty, czy bez pejsów, ten sobie z cenami maksymalnemi poradzi!

Est modus... .

Najgorzej zaś jest w tych wypadkach, gdy służba bezpieczeństwa spoczywa w rękach niepowołanych. Wtedy zło rośnie, przybiera postać ogólnego wrzenia, zachwiania się powagi władzy, a w rezultacie przynosi korzyści wyłącznie wywrotowcom judeo-bolszewickim.

Taki fakt miał niedawno miejsce w Łowiczu na targu piątkowym.

Przywiózł gospodarz Bedowicz (prawdziwy Biedowicz) z Urzecza ostatnie dwie ćwiartki kartofli, jakie się jeszcze kołatały, bo go potrzeba przycisła; że zaś kartofle w Łowickiem i okolicy się nie urodziły i trudno jest o nie, więc zażądał za ćwiartkę 1300 marek (cena maxym 1125).

W czasie tego zjawia się policja i aresztuje Bedowicza za przekroczenie cen i i wiedzie go tryumfalnie na Komendę Policji. Podczas tego, korzystając z zamieszania, podsuwają się różne wyskrobki miejskie, robi się sztuczny tłoczek i kartofle nikną z wozu, rozdrapane przez tłum. Policjant jakby

tego nie widział, bo przecież rolnik i tak ma dosyć „marków“, więc co mu tam dwie ćwiartki kartofli.

Na obronę Bedowicza ruszyli jednak sąsiedzi, powstał huczek, z czego skorzystał komendant policji p. Landy, by odwagę swą okazać.

Ten p. Landy, żyd-wychrzta, odziedziczył widać dzielność Machabeuszy; to też wobec bezbronnego tłumu wyciąga rewolwer, gwizdawszy, alarmuje swych ludzi, z drobnego zajścia robi wściekłą awanturę, kończącą się aresztowaniem kilku gospodarzy o bardziej krewkim usposobieniu i osadzeniu ich w kryminale.

Zajście to nasuwa następujące wątpliwości... Czy zachowanie się żyda Landy'ego przyniesie korzyści krajowi, czy wzmoże produkcję rolną, a przez to obniży ceny artykułów spożywczych, o co przecie przy wprowadzeniu cen maksymalnych chodziło, a wreszcie pytanie natury ogólnej: jak długo bezpieczeństwo publiczne i spokój spoczywać będą w rękach żydów czy wychrztów*), którzy swą semicką arogancją drażnić będą spokojną ludność! Jak długo?

A. M.

TAJEMNICZA REKWIZYCJA.

Rzecz dzieje się w osławionej siedzibie ukraińsko-sowieckiego poselstwa w hotelu „Victorja".

Od lipca 1921 r. mieszkał tam poważny obywatel z Kijowszczyzny p. J. B. Dnia 17 lutego b. r. zjawił się w mieszkaniu p. B. delegat mieszkaniowy Min. Spraw Zagranicznych, z zawiadomieniem, że całe 2 piętro hotelu „Victoria" zarekwirowały władze dla sowiecko-ukraińskiej delegacji zajmującej dotychczas 1 piętro i wręczył mu nakaz Nr. A/III/7/149, według którego M. S. Z. w porozumieniu z komisarzem Rządu, przeznacza p. B. w zamian za mieszkanie w „Victorji", dwa pokoje w hotelu „Universal". „Mieszkanie pańskie w „Victorji" potrzebne jest dla delegata Rządu Ukraińskiego p. Rakowskiego"—tak oświadczyli p. B. w dniu 24 lutego pp. Bieliński, naczelnik wydziału administracyjnego M. S. Z. i Lipaczyński delegat mieszkaniowy tego Ministerjum, dodając równocześnie, że o ile p. B. lokalu w „Victorji" nie opuści dobrowolnie w przeciągu 24 godzin, będzie zeń wydalony przez policję...

Uważając, że obowiązkiem każdego lojalnego obywatela jest podporządkowanie swych prywatnych interesów interesom państwowym, p. B. w ciągu kilku godzin opuścił mieszkanie nie tylko bez słowa protestu, lecz nawet ponosząc z własnej kieszeni znaczne koszty, związane z nagłą i pośpieszną przeprowadzką. Ponieważ mieszkanie przeznaczone dla p. J. B. w „Universalu" było zupełnie nieodpowiednie, otrzymał on od M. S. Z. pismo, z zapewnieniem, że dostanie w ciągu 2 tygodni inne odpowiedniejsze mieszkanie.

Przeprowadzka się odbyła, lecz w czasie jej dokonywania uderzyły p. B. dwie zagadkowe sprawy. Oto p. Rakowski, dla którego tak pośpiesznie kazano się wynosić z „Victorji" nie tylko nie przyjechał do Warszawy, lecz jak pisma doniosły wyjechał całkiem gdzieindziej, a w hotelu „Victorja" nie rekwirowano bynajmniej całego 2 piętra lecz tylko 4 pokoje, z których dwa zajmował p. B.

Mając piśmienne zapewnienie w ręku, zgłaszał się p. B. co parę dni do M. S. Z. po obiecane mieszkanie. Naturalnie bez skutku. Do dzisiaj mieszkać musi na poddaszu nieprzyzwoitego hoteliku w najfatalniejszych warunkach. Pogodziłby się on niewątpliwie w imię dobra

*) Patrz Nieboska Komedja.

interesów państwowych nawet z tak ciężką sytuacją, gdyby w ostatnich dniach nie okazało się, że cała awantura z rekwizycją, Naczelnikiem Wydziału, delegatem mieszkaniowym, Rakowskim, delegacją ukraińską była zwyczajnę komedją.

Mieszkanie w hotelu „Victorja" zarekwirowane przez M. S. Z. rzekomo dla delegacji ukraińskiej oddano żydowskiemu biuru transportowemu Bitnera...

I--ski.

„WIATR OD MORZA".

Czytelnikom „M. Narodowej" sygnalizujemy wyjście z druku nowej książki Stefana Żeromskiego pod powyższym tytułem. Zanim zdamy szerzej sprawę z tego królewskiego podarunku, jakim na Swięta Wielkanocne obdarzył polską inteligencję najznakomitszy dziś pisarz polski, cor cordium naszego pokolenia, informujemy tylko, że niepospolite to dzieło jeszcze raz gromkim głosem spiżowej prozy, wzywa naród polski do intensywniejszego, poważniejszego, gorętszego zainteresowania się i przejęcia problemem polskiego morza. Wielki pisarz, myśliciel i wychowawca dzisiejszego pokolenia, właściwy siewca ziarna idei niepodległościowej, ten z którego książek uczyli się dopiero abecadła polskości z rosyjska—międzynarodową ideologją nasyceni Okrzeje i Ziuki, Sirki i Wiktory w nowym swoim utworze daje retrospektywny epopejowy groźny obraz pangermańskiego „Drang nach Osten" i drapieżną, bezlitośną, nieludzką psychikę bynajmniej jeszcze nie zdławionego krzyżactwa. Już z pobieżnego przekartkowania „Wiatru od morza" odczuwa się, że będzie to „standard-work", najfundamentalniejsze dzieło niestrudzonego pracownika, najświetniejszego dziś stylisty, rzetelnego miłośnika swej Ojczyzny i przedewszystkiem jej najbardziej po macoszemu traktowanych a najuporniej wiernych synów t. j. Kaszubskich Pomorzan..

Z prawdziwą atoli przykrością konstatujemy podpis firmy, którę to dzieło swoim nakładem wydała: Jakób Mortkowicz. Czyż już niema do kroćset djabłów fimy księgarskiej chrześcijańskiej, którąby arcydzieła Żeromskiego wydawała i na nich robiła majątek? Czyż pisarz najbardziej rasowo lechicki, skroś tradycjonalistyczny, najżarliwiej narodowo czujny, instynkt plemienny najtkliwiej uosabiający, praprawnuk karmazynów Żeromskich musi iść psiakrew zatracona w pacht żydowskiego arendarza? Jak długo trwać będzie ten hańbiący jassyr?.. Czyż nie wstyd i nie poniżenie ostateczne widzieć na okładce tej książki kazirodczo, bluźnierczo zestawione nazwiska „subtelnego kantorowicza" z ul. Marszałkowskiej, z nazwiskiem wielkiego hetmana koronnego literatury spółczesnej? Czyż nie zawieją wreszcie od morza jakieś zdrowe wiatry, któreby zdmuchły raz wreszcie takie bezecne świństwa naszych ustosunkowań literacko wydawniczych jak ten maece nasoski koszerny delikatny patronat Pikusia czy Kubusia Mortkowicza nad Stefanem Żeromskim? *A. N.*

ZŁOTE MYŚLI P. P. E. SÓW.

Dr. Emil (?) Haecker („Naprzód" Listopad 1917 r.).

„I dlatego— mimo naszego zasadniczego stanowiska, którego się ani na chwilę nie zapieramy — chętnie powitamy cesarza austryjackiego jako króla polskiego, bo wiemy, że w warunkach rzeczywistych przez wojnę wytworzonych, będzie to najpomyślniejszem rozwiązaniem sprawy polskiej, jakie jest możliwe, a wszystkie inne, jakieby mogły w razie nieurzeczywistnienia berlińskiego układu nastąpić, byłyby dla Polski nierówne gorsze".

Dr. Klemensiewicz („Prawo Ludu" Nr. 13 z 23 Marca 1919 r.).

„Sfery posiadające i wyzyskujące operują obecnie nowym straszakiem. Tym straszakiem jest bolszewizm. Bolszewizm spędza sen z powiek rozmaitym spasionym wyzyskiwaczom i paskarzom, straszą nim siebie i niegrzeczne dzieci. Pod pokrywką „bolszewizmu" lub „komunizmu" dzieją się najordynarniejsze oszustwa polityczne i społeczne. Lada drapichrust znajdzie sobie wstęp do najbardziej dystyngowanego towarzystwa, jeżeli tylko zacznie psy wieszać na komunistach czy bolszewikach".

Pren. kwart. **480,** półr. **960,** rocznie **1920.** Zagranicą **2880.**
Ceny ogłoszeń: 1 str. za tekstem **60.000,** ½ str. **30.000,** ¼ str. **16.000,** ⅛ str. **10.000,** 1/16 str. **6.000 mk.** Konto czek. w P.K.O. Nr. 3105

Pren. i ogł. przyjmuje Hurtownia pism „Oświata", **Zgoda 5,** tel. 263-02.
REDAKCJA: KOPERNIKA 23, II piętro, tel. 91-76.
Redaktor i wydawca: I. O. GRABOWSKI.
Godziny przyjęć: codziennie od 4—6 prócz niedziel i świąt.

Druk F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.